

CZESŁAW BIELECKI

Dla pokolenia marcowego, które pamięta strach w oczach przechodniów podnoszących ulotkę z ulicy, sprawy konformizmu i odwagi były najważniejsze. Tworzyły linię podziatu.

ODWAGA I KONFORMIZM

'44

'56

'68 '70 '76 '80



Plakat Czesława Bieleckiego „Kardiogram” z 1980 r. Jego reprodukcja wisi w warszawskim Domu Spotkań z Historią

W marcu 1968 roku byłem studentem drugiego roku architektury. Pasjonowałem się plakatem. Po tym, co wydarzyło się 8 marca na dziedzińcu UW, w kręgu najbliższych szkolnych przyjaciół prowadziliśmy gorączkowe rozmowy w przekonaniu, że musimy coś zrobić. Pamiętam, że nazajutrz powiedziałem przyjacielowi z harcerstwa:

- Trzeba sobie wyobrazić, że za 24 godziny mogą nas zamknąć.

- Przesadzasz - odpowiedział.

Już wkrótce okazało się, że miałem rację. Pomyliłem się o parę godzin.

Zatrzymano mnie po dokładnej rewizji w mieszkaniu. Przejornie zadbałem wcześniej o to, żeby było „czyste”. Zarzut: próba koordynacji działań między Uniwersyte-tem a Politechniką. Pod naszym domem poprzedniej nocy milicyjni radiowóz zatrzymał moich dwóch kolegów szkolnych. Jeden z nich miał w bucie tekst ulotki, który chcieli mi przekazać od Andrzeja Duracza. Gdy zabierali mnie po kilkugodzinnej rewizji, matka z surową miną szepnęła mi w drzwiach: - Pamiętaj, tylko nic nie mów!

W Pałacu Mostowskich już w pierwszej godzinie przesłuchania zorientowałem się, że moi koledzy się posypali. Zaprzeczałem wszystkiemu i niczego nie wiedziałem. W sprawach politycznych - o czym przekonano się moje pokolenie w dwóch następnych dekadach - twardymi dowodami przestępstwa są przede wszystkim nasze własne zeznania. Materiały dowodowe to tylko drugorzędne rekwiizyty. Wypuścili mnie po 48 godzinach.

Dzięki odzyskanej na krótko wolności mogłem wziąć udział w strajku okupacyjnym Politechniki. Od tego czasu kiedykolwiek wchodziłem na przeszklony dziedzi-niec Gmachu Głównego, myślę, że jego architekt, Stefan Szyller, mógł tylko marzyć o wydarzeniach marcowych. W czasie strajku tłum studentów wypełniał aulę po brzegi, toczył się w loggiach i kularach. Audytoria wypełnione były studentami, którzy pod dyktando, ręcznie, przez kalkę przepisywali teksty ulotek. Inni podawali je warszawiakom przez ogrodzenie. Z kolegą z roku Januszem Sosnowskim (późniejszym scenogra-tem kultowych „Seksmissji” i „Kingsajzu”) i przyjacielem z ławy szkolnej Janem Jabłkowskim (dziedzicem Domu Braci Jabłkowskich dopiero od niedawna) wspólnie napisaliśmy tekst ulotki skierowanej do robotników.

Miałem przepustkę do sali obrad komitetu strajkowego. Już wkrótce nasz tekst był przepisywany w audytoriach.

Aresztowano mnie po raz drugi w końcu marca, ale ponieważ odmawiałem zeznań - tylko na dwa i pół miesiąca. Dopiero po wyjściu dowiedziałem się, że mojego przyjaciela z przedszkola zakapowała własna matka. Nazajutrz po jego aresztowaniu, kierując się partyjną szczerością, wyznała szefowi POP w miejscu pracy, dokąd i po co szedł w nocy jej syn i jakie to nieszczerście go spotkało. Towarzysz sekretarz, chcąc nie chcąc - jak to w systemie sowieckim - zaniósł tę infor-mację dalej do SB.

W więzieniu mokotowskim poczułem się wreszcie na swoim miejscu. Jakbym całą młodość się do tego przy-gotowywał. Skłócony z rodzicami z powodu ich przyna-leżności do partii - komunizowali jeszcze przed wojną - zostałem katapultowany na właściwą stronę. Moimi pierwszymi towarzyszami w celi mokotowskiego wię-zienia byli delegaci komitetów strajkowych: polonistki - Janek Walc i medycyni - Wojtek Celiński. Do komple-tu mieliśmy kapusia - recydywistę. W następnych celach - cinkciarze, urzędnicy, którzy brali łapówki za przydział telefonów, prywatna inicjatywa, jakiś uczestnik afery mięsnej (tej, w której Gomułka zażądał kary śmierci dla

dyrektora Wawrzeckiego). Przegląd prawdziwego życia w „dyktaturze ciemiaków”. Mokotowska Wyższa Szkoła Nauk Społecznych. Jakże różna od tej, którą kończyli spragnieni awansu niedokształceni komuniści. W czasie przesłuchań – czasem trwających wiele godzin – nie oszczędzano mi wyzysk i zachęt w rodzaju: „Jak was wysłamy do kibuców, to tam was nauczą moresu!”. (Zabawne, że powiedzieli „kibiców” – widać nie doczytali instrukcji). W ten sposób zachęcono mnie do całkowitego milczenia w śledztwie, co zostało mi na lata.

Moment zapowiadający wyjście na wolność był znamienity. Przez dwie godziny esbecy namawiali mnie na współpracę. Najpierw kluczyli opłotkami. „Naiwni studenci często błędzą, dają się manipulować, chcielibyśmy, aby razem z nami pan im pomógł...”. Nie mogłem wciąż zrozumieć. W końcu wydusili z siebie wprost propozycję. – A to o to chodzi – udałem zdziwienie i zdecydowanie odmówiłem. Po paru godzinach wypuścili mnie na tzw. wolność.

Bezmiar konformizmu

Wydarzenia marcowe miały wielu bohaterów, których znamy już z kart historii i polemik. Są nawet bohaterowie wbrew swojej woli, tacy jak Kazimierz Dejmek. Jako członek partii absolutnie nie zgadzał się z antysowiecką interpretacją swojej inscenizacji „Dziadów”.

Niektórzy „komandos” nie spodziewali się, że to może skończyć się więzieniem. Zakładali, że stalinizm odszedł w przeszłość, a spory „rewizjonistów” z „mocarzowcami” są sporami wśród swoich. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski siedzieli już w więzieniu, gdy ogólnopolski bunt wyłonił nikomu nieznanymi liderów. Relegowani z Uniwersytetu Adam Michnik i Henryk Szlajfer okazali się – w skali zrywu tamtego czasu – takim samym zapalnikami nieznanej sobie bomby jak wyrzucona ze Stoczni w 1980 roku Anna Walentynowicz. Irena Lasota, która na wiecu 8 marca czytała odezwę w ich obronie, już wówczas należała do kręgu bliższego młodym naukowcom i studentom z akademików niż „komandosom” – wychowankom Jacka Kuronia.

Urodzeni tuż przed albo po Marcu próbują odtworzyć motywację i działania naszego pokolenia. Wyrzucając je z ówczesnego kontekstu, popełniają ogromny błąd. Nasz bunt trzeba odnieść do bezmiaru konformizmu wokół. „Naszą małą stabilizacją” czasów Gomułki zarządzała milionowa organizacja o nazwie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Została już dawno spolszczona i stała się tak bezideowa, że wstępowało do niej wielu dawnych przeciwników ustroju. Nowi konformiści, w tym byli akowcy, wyperali z aparatu władzy dotychczasowych konformistów. O komunizmie narodowym i niezależnym od Rosji sowieckiej można było mówić w odniesieniu do Jugosławii rządzonej przez Tito. Ale nie myśląc o PRL. Kampania patriotyczna rozgrywana przez byłego prześladowcę akowców, ubowskiego generała Moczara, była niewątpliwie grą o stanowiska. Ale nie tylko. Tem ideowym było przywracanie pamięci – cóż, że manipulowanej. Nie chodziło wyłącznie o walki frakcyjne wewnątrz partii. Emocje narodowe wyrzucone drzwiami wracały oknem. Nie pierwszy raz i nie ostatni.

Roman Zimand, podobnie jak ja, nie wyemigrował z Polski. Miał odwagę ująć w słowa – trawestując Kaczmarskiego – jak wygląda to, co niszcząc, budował. Zawsze wypowiadał się za dekomunizacją, uważał akces do komunizmu za grzech nie do wymazania. Ale dodawał przy tym: „Chcę odpowiadać od dzwonka do dzwonka za to, co zrobiłem, a nie za to, czego nie robiłem. Jestem za dekomunizacją, ale nie wyłączając szwagra. Bo szwagier, choć w partii, był oczywiście przyzwyczajonym człowiekiem”.

Strach i represja – w Marcu i później – były po stalinowskim terrorze tylko „kaszka z mleczkiem”. Niech wszyscy, którzy dla otrzymania paszportu na Zachód szli na współpracę, jak dzisiejszy ambasador Przyłębski, biją się w piersi, a nie odszczekują krytykom. I niech – jak obecny prezes IPN Szarek – nie sądzą, że każdy świstek o zachowaniu w tajemnicy przesłuchania był dowodem kolaboracji. Dla pokolenia marcowego, które pamięta strach w oczach przechodniów podnoszących ulotkę z ulicy, sprawa konformizmu i sprawa odwagi, szczególnie gdy już nie płacilo się za nią życiem, były najważniejsze. Tworzyły linie podziału. Właśnie wtedy, w polskim Marcu '68 ćwiczyliśmy braterstwo, które doprowadziło nas do przelomu 1989 roku. Ćwiczyliśmy

JACEK KACZMARSKI „OPOWIEŚĆ PEWNEGO EMIGRANTA”

*Nie bój się, nie zabraknie. To krajowa czysta.
Ja, widział, przed wojną byłem komunistą,
Bo ja chciałem być kimś, bo ja byłem Żyd,
A jak Żyd nie był kimś, to ten Żyd był nikt.
Może stąd dla świata tyle z nas pożytku,
Że bankierom i skrzyptom nie mówią – ty żydku!*

*Ja bankierem nie byłem ani wirtuozem,
Wojnę w Rosji przeżyłem, oswoiłem się z mrozem
I na własnych nogach przekroczyłem Bug
Razem z Armia Czerwoną, jako politruk.
Ja byłem jak Mojżesz, niosłem Prawa Nowe,
Na których się miało oprzeć Odbudowę.*

*A potem mnie – lojalnego komunistę
Przekwalifikowali na manikurzystę.
Ja Kocham Mozarta, Bóg – to dla mnie Bach,
A tam, gdzie pracowałem – tylko krew i strach.
Spałem dobrze – przez ścianę słysząc ludzkie krzyki,
A usnąć nie mogłem przy dźwiękach muzyki.*

*W następstwie Października, tak zwanych wydarzeń
Już nie byłem w Urzędzie, byłem dziennikarzem.
Ja znałem języki, nie mnie uczyć, jak
Pisać wprost to, co łatwiej można pisać wspak.
Wtedy myśl się zrodziła – niechający być może,
Żem się z krajem tym związał – jak mogłem najgorzej.*

*Za tę hańbę zasługi – Warszawa czy Kraków –
Gomułka nam powiedział – Polska dla Polaków.
Już nie dla przybłędów Pospolita Rzecz –
Wiestaw, jak Faraon, popędził nas precz.
I szli profesorowie, uczeni, pisarze,
Pracownicy Urzędu szli i dziennikarze.*

*W Tel Awiwie właśnie, zza rogu, z rozpedu
Wpadłem na bytego kolegę z Urzędu
I pod Ścianę Placzu iść mi było wstyd –
Czy ja komunistą, czy Polak, czy Żyd?
Nie umiałem, jak on, chwały czerpać teraz
Z tego, że się z bankruta robi bohatera.*

*Wyjechałem. Przeniosłem się tutaj, do Stanów.
Mówią – czym jest komunizm – ucz Amerykanów.
Powiedz im, co wiesz, co na sumieniu masz,
A odkupisz grzechy i odzyskasz twarz.
A ja przecież nie umiem nawet ująć w słowa,
Jak wygląda to, com – niszcząc – budował.*

*I tak sam sobie zgotowałem zgbuę;
Meloman – nie skrzypek, nie bankier – a ubek,
Oficer polityczny – nie ruskij gieroj.
Ani Syjonista, ani też i goj!*

*Jak ja powiem Jehowie – Za mną, Jahwe, stań,
Z tą Polską związanym pepowiną hańb!
Jak ja powiem Jehowie – Za mną, Jahwe, stań,
Z tą Polską związanym pepowiną hańb!*

Wykonanie oryginalne utworu: www.youtube.com/watch?v=rrPHgnV7xQ

je przez 20 lat, rezygnując z łatwych karier. Żeby nie wstępować, gdzie nie wypada. Żeby bać się przede wszystkim własnego strachu. Żeby porozumiewać się i współpracować ponad podziałami.

Wojna sześciodniowa 1967 roku, prewencyjna kampania, którą Izrael wygrał ze swoimi sąsiadami, wzbudziła w Polsce dość powszechną sympatię. Polacy opowiadali sobie z przekąsem, że „nasi Żydzi” pokonali Rosjan. Arabskimi rękami chcieli zawładnąć Bliskim Wschodem. I to wówczas, w 1967 roku Gomułka, sam mający żonę Żydówkę, zaczął licytować się z Moczarem na partyjny antysemityzm. Nie po Marcu '68, ale już wtedy.

Wydarzenia marcowe zostały zdetonowane zakazem wystawiania Dejmekowskich „Dziadów” na scenie Teatru Narodowego. 30 stycznia w grupie młodzieży, która po ostatnim przedstawieniu protestowała pod pomnikiem Mickiewicza w Warszawie, skandowała hasła: „Niepod-

ległość bez cenzury!”, „Wolna sztuka”, „Wolny teatr”. W tej grupie nie było podziałów na Polaków i Żydów. Nikt nie myślał też o „resortowych dzieciach”. Andrzejowi Sewerynowi nie przeszkadzało, że mój kolega z wydziału architektury Marian Alster był synem byłego wiceministra spraw wewnętrznych. Patrząc ex post szerzej, Marzec był zdetonowaniem polskiego buntu przed rozprawą Moskwę z praską wiosną. Rosjanie i ich polscy gubernatorzy chcieli zapobiec solidarności w ramach obozu. Polskie więzienia wypełniły się zbuntowaną młodzieżą.

Naszego udziału w inwazji na Czechosłowację w 1968 roku niech wstydzą się ci, którzy za nią stali. Razem z Gomułką, Jaruzelskim, Gierkiem, Kiszczakiem. Albo, jak Rakowski czy Urban, ci, którzy marzyli o liberalizacji za zgodą Moskwy – zgodnie z kolejną partyjną „prawdą etapu”. W opresyjnym reżimie obywateli nie ponoszą odpowiedzialności za aparat, który ich gnębi, za ustrój, który im narzucono. Pomarcowcy masówki w polskich zakładach pracy w niczym nie różniły się przecież od tych, które zwolowano przedtem – za Bieruta i potem za Gierka. Dopóki nie dojrzelśmy do rewolucyjnego braterstwa pod znakiem Solidarności, byliśmy tylko zsowietyzowanym społeczeństwem, żyjącym w strachu przed powszechnym donosicielstwem. Marzec '68 był ostatecznym końcem złudzeń o możliwej suwerenności w granicach obozu. Złudzeń Października '56.

Olbryzi i karty

Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN 50. rocznica Marca obchodzona jest pod hasłem „Obcy w domu”. Mój kolega, który wyemigrował do Danii, Bronisław Świdewski, pisarz i interpretator Kierkegarda, już parę miesięcy temu pytał publicznie: „Czy istotnie podstawowym przesłaniem działań marcowych była obcość – czy raczej jedność? (...) Nadając Żydom miano »obcych«, czyli ludzi pozbawionych praw w swoim kraju, zamienia się ich wyłącznie w ofiary. Jest to zapewne rezultat tak modnej dzisiaj wiktylizacji żydowskiej historii, opartej na niekoniecznie prawdziwym przekonaniu, że »ofiara zawsze ma rację«. Nie zawsze tak przecież jest. Losy ludzkie bywają zagmatwane. Któż opisał to lepiej niż Jacek Kaczmarski w »Opowieści pewnego emigranta«. Warto jej posłuchać na YouTube.”

Niech każdy bije się we własne piersi i rozlicza z własnych grzechów. O tym zapominają dzisiejsi niezłomni, spóźnieni na pociąg historii. Ale dlaczego my, pozostali, mamy wyładować na prawo od zdrowego rozsądku? Dlaczego przeciwstawiać sobie, co nierozłączne i od wieków zmieszane? To Gomułka, jak napisał Świdewski do dyrektora POLIN, oddzielił Polaków od »syjonistów«, których postanowił wygnać. (...) To cięcie siekierą po »linii krwi« jest zgodne z programem nacjonalistów w obu grupach narodowych. Nie oddaje prawdy o tamtych wydarzeniach, bo Marzec był czymś przeciwnym, był dowodem na to, że wszyscy jesteśmy Polakami, że linia graniczna nie przebiegała między etnicznymi grupami, ale między komunistyczną władzą a narodem”. Pamiętam solidarnościowe obchody 40-lecia powstania w getcie warszawskim w 1983 roku. Wolni Polacy oddawali hołd żydowskiemu bojowcom. Wtedy Daniel Passant stał razem z ZOMO, a nas legitymowano i zatrzymywano.

W maju 1991 roku prezydent Lech Wałęsa złożył wizytę w Izraelu. Wygłosił w Knesecie przemówienie, które stało się przełomem w stosunkach z Izraelem i diasporą. Powiedział, że jako chrześcijanin nie może rozsądzać polsko-żydowskiego rachunku krzywd. – Ale jeśli ktokolwiek z was – zwrócił się do parlamentarzystów izraelskich – czuje, że został przez nas skrzywdzony, »to tu, w Izraelu, na ziemi waszej kultury i odrodzenia proszę was o wybaczenie”. Miał rację, której nie rozumieją dzisiejsi zaciekli polemici obu stron. Wtedy, tamten sukces negocjacji „Gazeta Wyborcza”, dziś nie rozumie go „Gazeta Polska”.

W odpowiedzi na słowa Wałęsy premier Izraela Itzhak Szamir, którego rodzina zginęła w Polsce z donosu Polaków i który powiedział kiedyś, że „Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem matki”, odczytał tekst przygotowanego przemówienia i odpowiedział w podobnym tonie. Przypomniał swoją młodość. – Zabożyński, nasz przywódca – mówił Szamir – dawał nam za wzór Legiony Piłsudskiego, kazał czytać „Konrada Wallenroda” Mickiewicza, uczył nas, jak wzorem Polaków powinniśmy walczyć o niepodległość. – Polacie

wygrali i my wreszcie wygramy – tak Wałęsa zaczął swoje publiczne spotkanie w Tel Awiwie. Rozległa się burza oklasków.

Ale nie wszędzie tak było. Po zwiedzeniu muzeum w Yad Vashem izraelski dziennikarz zapytał agresywnie prezydenta: „A co teraz pan powie?”. Stałem o krok od rozmówców. Byłem doradcą prezydenta, przez niego wybranym na tę podróż. Wałęsa odpowiedział pytaniem na pytanie: „Ciekaw jestem, co pan by wtedy zrobił?”. Zapadła chwila milczenia. „Jestem bojownikiem. Widziałem olbrzymów, którzy zamieniali się w karłów, i karłów, z których wyrastali olbrzymi”. I to zakończyło konfrontację.

Ten standard dialogu zanikł w dzisiejszych sporach. Oby powrócił w 50-lecie Marca '68. Rachunki krzywd i zasług dobrze jest zaczynać od liczenia grzechów zaniechania czy zbrodni swojej strony. – Gdyby sytuacja była odwrotna – mówił mój ojciec Żydom, a uratował się pod nazwiskiem Bielecki po aryjskiej stronie muru dzięki determinacji mojej matki i pomocy Polaków – myślę, że nie zachowałbyście się lepiej, raczej gorzej. Ale żaden zespół ani maszynna narracyjna nie pomoże w budowaniu wizerunku Polski, jeśli politycy z pierwszych stron gazet zapominają dziś, kto, co, kiedy, komu i jak mówi. Są rzeczy, które tylko Żyd ma prawo powiedzieć Żydom i tylko Polak – Polakom. Słowa trzeba ważyć. Za dużo pada słów niepotrzebnych i one zaczynają się wzajemnie napędzać. W XV wieku żydowski mędrzec Orchot Tzaddikim powiedział: „Zanim wypowiesz słowo, jesteś jego panem. Gdy już je wypowiesz – ono panuje nad tobą”.

Odpowiedzialność za wspólnotę

Moi rodzice i siostra, cała rodzina nieodbudowana jeszcze po Zagładzie, późno, dopiero wiosną 1971 roku wyjechała do Izraela. Ojciec stwierdził, że jeśli wypowiedziano mu prawo bycia Polakiem, to będzie Żydem. „Antysemityzm – mówił – ta wstydliva choroba, jest wszędzie. Jedyнным krajem, do którego mogę wyjechać, jest Izrael. Tam nikt mi nie powie, że nie jestem

u siebie”. Pojechałem więc z rodziną z Dworca Gdańskiego do granicy i wróciłem do Warszawy. Marzec związał mnie z Polską na zawsze. Odmówiłem komunistom prawa wygnania mnie z kraju. Ale po tym, co przeżyłem w trakcie krótkiego szkolenia w mokatowskim areszcie, postanowiłem zmienić sobie oficjalnie narodowość. Poszedłem w tym celu do urzędu dzielnicowego na Nowogrodzkiej. Ale urzędniczka mnie zbyła: Dlaczego nie na koreańską? Jako polski Żyd, z akcentem na oba te słowa, zacząłem więc wpisywać w ankietach personalnych i paszportowych: narodowość – żydowska, obywatelstwo – polskie. Dlaczego? To bardzo proste. Nie chcę, aby to, co dobrego robię w życiu, szło tylko na polskie konto, a co złego – na żydowskie. Nie uznaję zasady zbiorowej odpowiedzialności ani zasady zbiorowej nieodpowiedzialności – napisałem przed laty w polemice ze „Strachem” Jana Tomasza Grosa. Każdy – choć to decyzja indywidualna – powinien czuć się odpowiedzialny za swoją wspólnotę, za zbiorowość. I tę, do której należy, i tę, do której inni przypisują.

Z mojego życiowego i rodzinnego doświadczenia wyciągnąłem jeden wniosek – nie warto wyrzekać się swoich korzeni, choć być sobą jest znacznie trudniej, niż być kimś. Nacjonalistom wszelkich nacji, którzy walczą o czystość krwi, radzę pomyśleć o kosztach własnych. Niemcy wyszli na tym fatalnie. Polscy i żydowscy szowiniści – lepiej, ale też marnie. Polsko-żydowskie związki są nierozzerwalne: Hemar i Lem, Kisielewski i Herling-Grudziński, nie mówiąc o „złym pochodzeniu” naszych wielkich poetów: Mickiewicza i Baczyńskiego. Fani Jacka Kaczmarskiego też mają tu temat do rozmysłu.

Polscy Żydzi byli przed wojną i po wojnie, przed Marcem i po Marcu, przed '89 i po '89 we wszystkich formacjach politycznych. Tak jak i Polacy byli wśród patriotów i kolaborantów, na prawicy i na lewicy. Nowe pokolenia, przygotowując się do stulecia niepodległości Polski, muszą znów nauczyć się ładnie różnić. Rozumieć i szanować odmienności. Większość nie udowodni mniejszości swoich racji przez wyprowadzanie kogoś z domu o 6 rano w kajdankach. Inaczej prędzej czy później zwykli obywatele będą jak dwóch Żydów w pomarcowym kawale pytać się przy spotkaniu: – Co poza tym? W Marcu i po Marcu osiągnęliśmy niełatwe braterstwo w imię niełatwej walki o wolność. Ci, którzy gotowi są

winić Polaków za masówki z transparentami „Syjoniści do Izraela”, powinni przypomnieć sobie takie same – już polsko-polskie masówki przeciw wicherzycielom po grudniu '70 i czerwcu '76. Zajądlność i nienawiść nielicznych, oportunistów większości – to prawdziwe niebezpieczeństwo dla naszej wolności. Tego nauczyli nas faszyzm i komunizm. Gdy opresja jest bezkarna, a strach powszechny, z ludzi wychodzą bestie, bo człowiek to nie jest ładne zwierzę.

Marcowi emigranci, nie tylko żydowscy, także polscy naukowcy i twórcy, zapamiętali atmosferę zaszczucia i nagonki, gorycz podróży w jedną stronę bez prawa powrotu. Zapominali przy tym, że przez następne dwie dekady sama możliwość wyjazdu na Zachód była marzeniem setek tysięcy Polaków. Ale aby Polska nie zginęła, ktoś musi zawsze w niej zostać. Tak jak na ziemi Izraela przez najgorsze setki lat prześladowań pozostała garstka Żydów. Po dwóch tysiącach mogła opomnieć się o prawo do własnego domu narodowego. W roku stulecia Niepodległości uszanujemy okrągłą rocznicę '68 jako wspólne dziedzictwo.

Polksi Marzec to dwa w jednym. Rozszyfrujemy ten skrót. Nasze polsko-żydowskie braterstwo i antysemityzm aparatu władzy komunistycznej. Nasza inteligentka дума i dyktatura ciemniaków, za które to słowa nieznanymi sprawcy pobili na ulicy Stefana Kisielewskiego. Marzec nie podzielił nas na tych, którzy wyjechali i tych, którzy zostali. A już na pewno nie podzielił nas na Polaków i Żydów. Marzec połączył tę mniejszość społeczeństwa, która się wówczas nie poddała, z tą, dla której warto było zapłacić cenę za wolność. Cenę i tak dużo niższą niż w poprzednich pokoleniach. Od Marca zaczęliśmy budować niełatwą solidarność ludzi zdecydowanych na działalność opozycyjną, przychodzących z różnych stron i z różnym bagażem, krajowym i emigracyjnym. Odwaga i uczciwość zobowiązywała nas do patriotyzmu. Patriotyzmu za, a nie – patriotyzmu przeciw. Dziś znowu potrzebujemy tego rozróżnienia. Inaczej tegoroczny Marsz Niepodległości pójdzie drogą donikąd. ☹

Czesław Bielecki jest architektem i publicystą. Był założycielem Ruchu Stu, doradcą prezydenta Lecha Wałęsy i premiera Jana Olszewskiego.



Huta Warszawa – 1968 r. Wiec poparcia dla antyżydowskiej polityki partii po zamieszkach marcowych